

Treści krajoznawcze wyniesione z pobytu w Gorzowie Wielkopolskim

Jadąc na CZAK każdy z nas, choćby nie wiem jak dobrze znał teren, który będziemy zwiedzać, czyni sobie jakieś plany czy założenia co do proponowanych przez organizatorów tras. Bo każdy z nas chciałby zobaczyć coś czego jeszcze nie widział. Dlatego przed wyjazdem szczegółowo czytamy co zobaczymy podczas wycieczek. Oczywiście nie mamy na to żadnego wpływu, gdyż to organizator proponuje co chce nam przedstawić. Jednak często obiekty widziane przez nas już wielokrotnie możemy dzięki dobremu przewodnikowi odkryć niejako na nowo. Czasami możemy zostać zaskoczeni, zwłaszcza wtedy gdy któryś z tych obiektów został wyremontowany. Co w końcu w dzisiejszych czasach wcale nie jest taką rzadkością. Ale najciekawsze zawsze okazują się niespodzianki. Bo przecież wciąż powstają nowe walory krajoznawcze tworzone przez różnych zapaleńców. Są to zarówno jakieś pomniczki czy ścieżki np. edukacyjne, ale czasami są to rzeczy wręcz absurdalne. Jednak zawsze te drobiazgi wprawiają nas w miły nastrój. Dlatego też byłem ciekaw jak zostaną przedstawione nam zaplanowane przez organizatorów obiekty i czy wywrą one na mnie jakieś wrażenie. W zasadzie powinienem w tym miejscu odpowiedzieć na to pytanie ale pozwolę sobie moją odpowiedź przekazać na końcu tekstu, po opisie tego co nas spotkało na trasach Złotu.



Trafiłem do grupy zielonej, co od razu zaowocowało kolejnością odbywania wycieczek. Pierwszego dnia wyruszyliśmy autokarem aby zwiedzić Kostrzyn, a właściwie to co z niego zostało po ostatniej wojnie światowej. Piszę tak ponieważ naszym celem było stare miasto w obszarze Twierdzy Kostrzyn. Muszę powiedzieć, że z ciekawością patrzyłem na reakcje współwycieczkowiczów. Czyniłem tak dlatego, że gdy po raz pierwszy przybyłem tu by obejrzeć obiekt wpisany do Kanonu to początkowo się wkurzyłem. Bo zobaczyłem najpierw same zarośla, później poczułem dobitnie, że komary mnie polubiły, a dopiero na końcu zacząłem dostrzegać wśród zieleni jakieś murki, schodki oraz kupki a właściwie wielkie kupy gruzów. Okazało się wtedy, że to jest właśnie to. Dzisiaj już mnie nie dziwi ten widok, ale wtedy było to jakieś takie nierealne. W końcu tyle lat po wojnie i nikt nie wymyślił co z tym fantem zrobić. Dlatego teraz, jak już wspominałem, patrzyłem na reakcje innych (były podobne do mojej z przed lat) ale także z zaciekawieniem zacząłem przyglądać się zmianom jakie tu nastąpiły. Okazało się iż wreszcie coś zaczęło się tutaj dziać. Zaczęto prowadzić jakieś prace rewitalizacyjne. To bardzo dobrze, bo zarówno przyczyni się do przybywania tutaj większej liczby turystów ale także pozwoli nam mieć nadzieje na dalsze zmiany na lepsze. Może w końcu doprowadzi to do zlikwidowania największej bolączki tego miejsca jaką są, wspomniane już, komary. Mieliśmy okazję wejść do częściowo już wyremontowanych podziemi twierdzy. Pozwoliło to nam na zobaczenie jakie warunki za-

pewniano tutaj załodze. Fajnie, że prace remontowe zaplanowano tak, iż wykorzystuje się stare mury łątając je nowymi. Dziwnym tylko wydaje się nam fakt, iż mamy wrażenie że te nowe cegły zaczynają się już kruszyć. Chyba że jest to celowe zamierzenie wykonawców. Jeśli tak to gratulacje.

Muszę powiedzieć, że skala prowadzonych tutaj prac bardzo nas zaskoczyła. Co prawda teren ten jest tak wielki, że prace te, jeśli będą odpowiednie środki, potrwają pewnie jeszcze kilkanaście lat, ale warto będzie powracać tu by oglądać zachodzące zmiany. Zwłaszcza iż od czasu do czasu widzimy na niebie przemieszczające się klucze w jakie formują się dziesiątki gęsi.



Coraz bardziej jesteśmy ciekawi przydzielonego nam przewodnika. Jego sposób przekazywania wiadomości jest oryginalny. Po dotarciu do mostu granicznego prowadzący "straszy" nas, że jak się nie ma przy sobie dowodu osobistego to lepiej nie iść dalej, gdyż możemy zostać zatrzymani i zapłacimy bardzo wysoką karę. Wszyscy przyjęli tę wypowiedź z przymrużeniem oka, ale okazało się później, że znalazł się młodzieniec, który wziął to na serio i po cichu wycofał się zostając na parkingu. My oczywiście śmiało wkroczyliśmy do "Zjednoczonej Europy". Zaraz za mostem zabrał nas autobus i pomknęliśmy dalej. Jakoś nikt się nie dopatrzył braku wspomnianego młodzieńca. Naszym celem był Fort Gorgast. Jest on częścią składową systemu obronnego miasta, tyle że oddaloną spory kawałek od twierdzy głównej. Jego budowa trwała sześć lat. Obiekt ten znajduje się w doskonałym stanie, ponieważ w momencie oddania go okazał się być przestarzałym. W międzyczasie bowiem zmieniły się realia prowadzenia wojny oraz unowocześniono działa. Tak więc Fort Gorgast wykorzystywany był tylko jako baza magazynowa oraz miejsce zakwaterowania.

Dzisiaj właścicielem obiektu jest gmina Kustriner Vorland a przy organizacji różnych imprez kulturalnych wspiera ją powstałe w 1999 roku Stowarzyszenie "Fort Gorgast".

Fort zbudowano w kształcie motyla przy wykorzystaniu nasypów ziemnych maskujących części murowane. Jest tutaj bardzo chłodno i dlatego interesowało nas w jaki sposób przechowywano materiały wybuchowe. Okazało się, zresztą nie po raz pierwszy, że pomysłowość naszych przodków nie zna granic. Na wszystko potrafili oni znaleźć jakiś stosowny sposób.

Aby nie wyjść z wprawy przemieściliśmy się na stronę polską. Na granicy zabraliśmy czekającego na nas młodego człowieka o którym wspominałem wcześniej. Dotarliśmy do fortu Żabice. Przywitało nas tutaj na leśnym parkingu całe stadko małych kociaków. Ruszyliśmy drogą w las by po chwili znaleźć się przed wejściem do Fortu. Wtedy wysłuchaliśmy ciekawej opo-



wieści o dziejach budowli, zarówno tych starszych jak i najnowszych. Jak się okazało były one burzliwe. Teraz dowiedzieliśmy się iż konieczne będą latarki. Niestety, ponieważ do tej pory tylko one przeszkadzały, nieświadomi tego co nas czeka, pozostawiliśmy je w autobusie. Oczywiście nikt nie wrócił się po nie bo już było na to za późno. Weszliśmy zatem w coraz ciaśniejsze korytarze. Po chwili okazały się one częściowo zalane wodą. Do tego, że względu na pomalowanie ścian smołą, woda zmieniała się w czarną maź. Mieliśmy tylko kilka latarek więc ustawiliśmy się tak by jedna przypadała na kilka osób. Jednak ciemności były coraz większe a zaskoczenie wdepnięciem w bardzo zimną wodę powodowało nasze próby ratowania się, które oczywiście kończyły się oparciem o wilgotne ściany. Gdy wyszliśmy wreszcie na powietrze niektórzy nie mogli się poznać. Wielu z nas było dosłownie od stóp

po głowę cali czarni. To właśnie te muśnięcia o wilgotne smołowane ściany pozostawiły na nas swoje ślady. Wielu z nas miało czarne ubrania. Okazało się, że smoła nie tak łatwo puszcza. Zatem dalszą część wycieczki staraliśmy się nie straszyć przechodniów. Po powrocie próbowaliśmy ratować nasze odzienie. Niestety nie wszystkim się to udało. Niektórzy polecili do miasta by coś sobie kupić.

Za to wieczorem gdy wystąpił Piotr Chara byliśmy bardzo zaskoczeni. Oczywiście mile zaskoczeni. Kolega Piotr opowiadał tak ciekawie, że słuchaliśmy wpatrzeni w piękne zdjęcia jakie nam co chwilę pokazywał. Dla takiego wykładu warto rzucić wszystko. Fakt że tacy pasjonaci jak pan Chara zdarzają się niezwykle rzadko. Ale gdy już się na takiego trafi to trzeba korzystać. My cieszyliśmy się na samą myśl iż właśnie ten człowiek oprowadzi nas po Parku Narodowych. Pewnie będzie to niezapomniane przeżycie.



Szykowaliśmy się zatem do dnia następnego a na razie w niewielkiej grupce wymienialiśmy wrażenia z tego co zobaczyliśmy dzisiaj.

Rano „wpadliśmy” w ręce Zbyszka Rudzińskiego. Ciekawi byliśmy co nam on pokaże bo każdy z nas zwiedzał już wiele razy Gorzów, tyle że przeważnie czynił to na własną rękę. Już na początku naszej wędrówki dowiedzieliśmy się kim był człowiek, którego imieniem nazwano ulicę po której szliśmy. Franciszek Walczak to jedna z wielu ofiar okresu powojennego, kiedy to wojska niemieckie zostały wyparte z miasta, a na ich miejsce wkroczyły wojska polskie i radzieckie. Nie istniało wtedy praktycznie żadne prawo, a właściwie nikt go nie przestrzegał. A już najmniej przejmowali się tym żołnierze radzieccy. I właśnie jeden z nich, gdy młody niedoświadczony żołnierz jakim był Walczak, odmówił spełnienia kaprysu czerwonoarmisty, bez skrupułów użył bagnetu. Sprawę oczywiście jakoś zatuszowano a dzisiaj mamy ulicę upamiętniającą tamtą niepotrzebną śmierć.

Podziwiając panoramę miasta doszliśmy do wyłaniającego się ciekawego obiektu. Okazał się on być gmachem Filharmonii Gorzowskiej. To co widzimy jest tylko częścią planowanej inwestycji, kosztującą do tej pory ponad 130 milionów złotych. Wygląda jednak obiecująco. Ciekawie jak będzie prezentowało się to miejsce gdy za-

kończona zostanie cała inwestycja obejmująca jeszcze budowę kompleksu szkół artystycznych oraz Doliny Muzycznej.

Pogoda nam sprzyjała. Mimo zapowiadanych opadów było wciąż przyjemnie. Zatem mogliśmy po dotarciu do Muzeum Lubuskiego, wysłuchać dyrektora obiektu, który przekazał nam ciekawe wiadomości o prowadzonych właśnie pracach remontowych. Głównym naszym celem był teren wokół pałacyku, na którym utworzono Ogród Dendrologiczny. Na terenie ponad trzech hektarów wytyczono ścieżkę dydaktyczną. Zgromadzono tutaj wiele rzeźb i wykonano wiele detali architektury ogrodowej. Ostatnio przeniesiono tutaj i zrekonstruowano grobowiec megalityczny kultury amfor kulistych sprzed 4100 lat. Ale najciekawszy jest jednak sam ogród. Występuje tutaj około 150 gatunków drzew i krzewów. Ogród a właściwie nasadzenia jakie tu wykonano są tak pomyślane aby przez cały rok można było zobaczyć coś nowego. Dlatego warto, jeśli znajdzie się czas, odwiedzać go o różnych porach roku. Zastanawialiśmy się co przedstawiają dwie rzeźby ustawione na trawniku. Okazało się iż są to obiekty przeniesione tutaj z przed ratusza. Ciekawym faktem jest iż przedstawione na nich dzieci siedzą na rogach obfitości. Ponoć od czasu gdy zabrano je sprzed ratusza nic nie jest już tak jak dawniej. Jeśli chodzi o Muzeum to, oczywiście oprócz zgromadzonych tu zbiorów, warto zwrócić uwagę na architekturę samego obiektu. Willa zbudowana w roku 1903 dla właściciela fabryki kabli Gustawa Adolfa Schroedera to piękny przykład stylu eklektycznego. Kiedyś jednak potrafią budo-

wać piękne domy. Do tego dbano by były one funkcjonalne. Wiązało się to jednak z odpowiednim metrażem oraz koniecznością posiadania służby do obsługi tak dużego domu. Dlatego na taki obiekt mogli sobie pozwolić naprawdę ludzie majątni. Ale dzięki nim dzisiaj możemy nacieszyć nasze oczy widokiem wspaniałej architektury oraz podziwiać przepiękne rośliny rosnące w ogrodach otaczających takie domy.



Idąc dalej po raz kolejny widzimy białą wieżę kościółka. Jest to "Biały kościółek". Ale nazwa ta powinna brzmieć Kościół Zgody. Bo w takim właśnie celu został wybudowany na przełomie XVII\XVIII wieku. Pierwotnie chodziło o zgodę pomiędzy wiernymi wyznania luterńskiego i kalwinistami. W czasach nam bliższych, czyli dokładnie 29.01.1995 roku spotkali się tutaj landsberczycy (przedwojenni mieszkańcy miasta) i gorzowianie (powojenni mieszkańcy miasta), przekazując sobie podczas wspólnej mszy znak pokoju. Był to początek Dnia Pojednania i Pamięci, którego obchody zastąpiły świętowanie wyzwolenia tych ziem jakie miało miejsce w roku 1945. Zapewne wszystkich zaciekawili umieszczone w tej świątyni przedstawienie, ukazane na II stacji znajdującej się tu drogi krzyżowej autorstwa Ryszarda Kaczora, w którym Jezusowi dźwigającemu krzyż przygląda się Jan Paweł II.

Oglądając drzewa pomnikowe byliśmy bardzo ciekawi jak wygląda największy absurd w mieście. Mieszkańcy mówią o tym obiekcie "schody do nikąd". Faktycznie gdy je ujrzelismy wydawały się prowadzić do nikąd, gdyż były zastawione barierkami i zarośnięte chaszczami. Ale przecież nie zawsze tak było. Okazało się, iż prowadzą one do miejsca, z którego roztacza się najpiękniejszy widok na śródmieście. Wystarczy tylko nieco uporządkować wzgórze i będzie można zmienić ich nazwę.

W Gorzowie zachował się kawałek dawnych murów obronnych. Początkowo mury miały prawie 4,5 kilometra długości. Były one skuteczną przeszkodą w zdobywaniu miasta. Król szwedzki Karol Gustaw był pierwszym, któremu udało się zniszczyć częściowo mury. Dokonał tego w 1631 roku kiedy to zajął miasto. W pobliżu zachowanych murów zbudowano kiedyś studnię. W dawnych czasach obiekty takie często fundowali ludzie majątni by zaskarbić sobie przychylność mieszczan. Studnie bowiem były jedynymi ogólnodostępnymi miejscami pozyskiwania wody pitnej. Najbardziej znaną studnię w mieście jest "Studnia Czarownic" znajdująca się na Wełnianym Rynku. Na kuli wieńczącej spiczasty daszek nakrywający studnię znajduje się rzeźba przedstawiająca postać nagiej czarownicy lecącej na miotle. Jest to oczywiście nowa rzeźba wykonana przez Zofię Bilińską w 1997 roku. Co ciekawe przedstawiona tu czarownica to piękna dziewczyna. Bo prawda jest taka, że nie wszystkie czarownice były brzydkie. Pewnie ta spalona tutaj w 1686 roku taką była bo i po co by ją uśmiercano.

Kilka kroków dalej mogliśmy podziwiać starą - nową fontannę. Starą, bo została ona wykonana w 1897 roku jako dar dla miasta od przemysłowca Hermana Pauckscha. W 1945 roku zdemontowano ją i wywieziono gdzieś pod Stalingrad. A nową, bo w stulecie fundacji władze miasta przy

wspierciu mieszkańców wspólnie doprowadziły do ustawienia nowej fontanny z rzeźbami wykonanymi przez Zofię Bilińską. Starą zaprojektował Cuno von Uechtritz. Główna rzeźba to "bamberka" będąca przedstawieniem solidności i pracowitości niemieckich mieszczan. Na początku nazywano ją Pauckschmarią. Figury dzieci bawiących się u jej stóp to przedstawienia dziedzin z jakich znane było miasto czyli przemysł maszynowy, rybołówstwo, handel i transport rzeczny.

Katedra NMP, do której właśnie dotarliśmy, to bez wątpienia najcenniejszy zabytek w mieście. Ale na uwagę zasługuje tutaj nie tylko architektura, wystrój czy ozdoby ale samo miejsce. A właściwie jego duchowa wymowa. Zwrócił nam na to uwagę nasz prowadzący Zbyszek Rudziński. I słusznie, bo najtrudniejsze jest budowanie życia w pokoju, życia w posłudze pomocy dla innych, a więc życia ciągłych wyrzeczeń. To właśnie tutaj swoją posługę bożą pełnił Biskup Gorzowski Wilhelm Pluta zmarły w 1986 roku. Muszę powiedzieć, że gdy odwiedzałem Gorzów wcześniej, wiele razy słyszałem o tym człowieku. Mieszkańcy zawsze wyrażali się o nim z szacunkiem. Widocznie musiał czymś sobie na to zasłużyć. Na tumbie grobowej znajdującej się w kruchcie wieży widzimy wyryte słowa, którymi kierował się w swoim życiu biskup Pluta. Brzmiały one : "Człowiek w człowieku umiera, gdy go już dobro uczynione nie raduje ani zło nie boli".

W samej świątyni zaciekawiają nas drzwi wejściowe z nabitymi gwoździami. Były to dowody dokonania wpłat na fundusz wojenny w czasie I wojny światowej. Oczywiście te pozłacane i posrebrzane dawno już zniknęły. W murach zewnętrznych znajdują się kuliste otwory powstałe jako wynik zapalania ognia świdrami kulowymi. Wzniesiony ogień służył do zapalania świec, które w święto Wielkiej Nocy gdy zostały doniesione do domów gwarantowały pomyślność i zdrowie na kolejny rok dla całej rodziny. Jednak doniesienie ognia tak by nie zgasł po drodze wcale nie było takie łatwe. Tajemnicą do dnia dzisiejszego pozostaje znaczenie umieszczonej tu kamiennej szachownicy. Jest to jedyny obiekt (z prawie stu znanych) znajdujący się wewnątrz świątyni. Jeszcze jedną ciekawostką jest ukazywanie się ducha ubranej na białą niewiasty, która powtarza że jest niewinna. Chodzi tutaj o zdarzenie z okresu wojen husyckich, kiedy to pewna mieszczańska została posądzona o zdradzenie tajemnego przejścia prowadzącego z katedry do istniejącej kiedyś kaplicy św. Urbana usytuowanej już za murami obronnymi. Pozwoliło to na niespodziewany atak nieprzyjacielskich wojsk. Mieszczańska została stracona, a jak już wspominałem, jej duch ukazuje się z nadzieją na rehabilitację.

Słońce przygrzewało coraz lepiej więc byliśmy bardzo radzi gdy dotarliśmy do przystani w której czekał na nas mały stateczek. Początkowo był on dla nas tylko jeszcze jedną atrakcją. Jednak gdy jego kapitan Jerzy Hopfer opowiadał nam historię tej łupinki zaczynało do nas docierać, że oto płyniemy najstarszym (127 lat) drewnianym lodołamaczem rzeczny jak zachował się na świecie. Statkiem, który po wycofaniu ze służby i odkupieniu go w 1974 roku został przeholowany do Gorzowa Wielkopolskiego. Tutaj, gdy zatonął przeleżał na dnie dwadzieścia lat i może byłby to jego koniec gdyby nie to, że w 2000 roku znaleźli się ludzie, którym zamarzyło się darowanie okrętowi drugiego życia.



Założyli oni Stowarzyszenie Wodniaków Gorzowskich "Kuna" i po sześciu latach ciężkiej pracy oraz zmagania się z urzędnikami doprowadzili do tego iż nasz lodołamacz znowu pływa. Z tym że obecnie jest on statkiem muzealno-szkoleniowym wykorzystywanym do prowadzenia edukacji historyczno-kulturalnej. Oczywiście pływa on po Warcie. Jednak nie są to kursy regularne. My wykorzystaliśmy go by dopłynąć do Santoka. Lodołamacz "Kuna" został nominowany do tytułu jednego z siedmiu cudów Polski w plebiscycie "Polska jest najfajniejsza" ogłoszonym przez National Geographic. Podczas

rejsu mogliśmy podziwiać piękne pagórki wzdłuż rzeki. Nawet nie spodziewaliśmy się, że jest tutaj tak pięknie.

Santok to miejsce przedziwne. Obecnie miejsce spokojne gdzie czas płynie leniwie. Gdzie nikomu nigdzie się nie spieszy. Jednak w jego długiej historii (pierwsze wzmianki o istniejącym tu grodzie pochodzą z przed 1300 lat) nie zawsze tak było. Toczyły się tu bitwy mające wpływ na losy prowadzonych wojen. Miały tu miejsce zdrady i tajne układy. Miały także miejsce powodzie, małe i wielkie. Niektóre tak wielkie, że niszczyły praktycznie wszystko. I mimo iż było to miejsce strategicznie bardzo ważne, dzisiaj jakby poszło w zapomnienie. Jedyne ślady dawnej świetności możemy spotkać w utworzonym tu Muzeum Grodu Santok, gdzie oglądając rekonstrukcję zaskoczy nas jego dawna wielkość. Drugim miejscem, które należy odwiedzić jest miejsce w którym istniał gród. Może dzisiaj niewiele nam da przedarcie się przez pokrzywy wysokości człowieka ale za to jak ich pieszczotliwy dotyk pozytywnie wpłynie na nasze zdrowie. Na pewno długo zapamiętamy tą wyprawę, zwłaszcza, że była też atrakcja. By dostać się tutaj musieliśmy skorzystać z kursującego tu promu. Aby nikt nie pomyślał, że nie warto tutaj przybyć powiem, iż utworzono tu rezerwat przyrody "Santockie Zakole". Utworzono go w celu zachowania krajobrazu doliny Warty oraz ochrony miejsc lęgowych wielu gatunków ptaków. Wytoczona ścieżka dydaktyczna o długości 8 kilometrów ułatwi nam obcowanie z przyrodą. A gdyby ktoś dalej wątpił to niech wie, że może tutaj spotkać ponad dwieście dębów szypułkowych, których obwód pnia przekracza ponad sześćset centymetrów. Z nieco nowszych dziejów zacieka nas na pewno stojąca samotnie szachulcowa dzwonnica. Zaraz zapytacie gdzie się podział kościół dla którego ją wzniesiono. Otóż okazało się iż w czasach gdy budowano linię kolejową kościółek stał akurat w miejscu gdzie powinny przebiegać tory. Ponieważ nowe połączenie komunikacyjne gwarantowało miejscowości szybki rozwój, mieszkańcy postanowili rozebrać świątynię i wybudować ją w innym miejscu. Jednak dzwonicę, która nikomu nie przeszkadzała pozostawiono. Dzisiaj można ją zwiedzać po uzgodnieniu tego z pracownikiem muzeum.

Myślę, że nie zdziwi zatem nikogo, że Gall Anonim w swoich kronikach nazywał Santok "kluczem i strażnicą królestwa polskiego".

Po powrocie do Gorzowa ruszyliśmy wzdłuż najdłuższego wiaduktu kolejowego w Polsce zbudowanego w latach 1910-14 (siedemdziesiąt przęseł) z powodu zbyt dużego ruchu kolejowego. Musiano bowiem wtedy zamykać szlaban co 3-4 minuty. Dzisiaj nie byłoby takiej potrzeby. Mijamy pomnik poświęcony pionierom miasta, sztuczną plażę!, pomnik Pawła Zacharka, legendarnego przewoźnika, który z narażeniem życia przewoził ludzi przez rzekę gdy stary most zniszczono, a nowego jeszcze nie było. Po drugiej stronie rzeki widzimy nowe rondo na Zawarcu, pośrodku którego wzniesiono Dominantę, uważaną za najbrzydszą i najniższą wieżę widokową w Polsce. Faktycznie wygląda ona jak przycupnięty pająk. Jednak dla nas kierowców jest to wyjątkowy znak rozpoznawczy. Na pewno nie pomyli się nam z innym miastem. Gdy go ujrzymy będziemy wiedzieli iż przejeżdżamy przez Gorzów Wielkopolski.

Kolejny pomnik jaki pokazał nam Zbyszek poświęcony został Kazimierzowi Wnukowi, gorzowskiemu kłozardowi, który zaskarbił sobie u mieszkańców miasta takie uznanie, że zebrali oni fundusze potrzebne by go upamiętnić. Jak więc widać można być jakbyśmy to powiedzieli "na dnie", ale



wciąż można być człowiekiem. Kolejny upamiętniony gorzowianin to Edward Jancarz, prawdziwa legenda i sportowy wzór do naśladowania. Jednak w życiu prywatnym już nie taki kryształ jakby się wydawało. Ale są tu także pomniki artystów malarzy: Jana Korcza, zamieszkałego tu w 1945 roku, autora setek obrazów i Ernesta Henselera, profesora rysunku politechniki berlińskiej urodzonego w Wieprzycach.



Podziwianie dalszych obiektów architektonicznych jakie przedstawiał nam nasz prowadzący, mimo iż były to wspaniale zdobione kamienice, ze względu na zmęczenie oraz natłok dotychczas pozyskanych wiadomości, w zasadzie już nas nie niezbyt interesowało. Marzyliśmy tylko o dotarciu do hotelu by umyć się i odpocząć.

W piątek wyruszyliśmy na trasę mającą ukazać nam związki tych ziem z zakonami rycerskimi. Wydawało nam się to bardzo ciekawe. Udaliśmy się zatem do miejscowości Sulęcín. I coś się okazało. Otóż według dokumentu z 1244 roku Sulęcín został подарowany zakonowi Templariuszy. Jednak siedemdziesiąt lat później, po kasacie zakonu, ziemie te po przejściu przez Brandenburczyków zostały przekazane w ręce zakonu Joannitów, pod rządami których były aż do 1810 roku, kiedy to z kolei przeprowadzono kasatę tego zakonu.

Dzisiaj pozostałością po Templariuszach jest kościół św. Mikołaja. Jeden z ciekawych przekazów mówi o jeleniu ściganym przez wilki, który wpadł do świątyni. Niestety nic mu to nie pomogło, gdyż wskutek odniesionych ran i wyczerpania i tak wyzionął ducha. Tyle, że dokonał

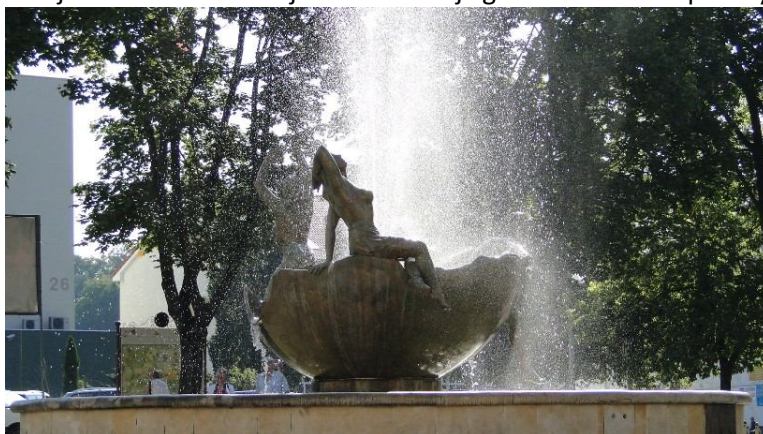
tego przed ołtarzem. Mieszkańcy widząc rano taką niebywałą rzecz postanowili zachować w pamięci to wydarzenie i z wielkiego poroża jelenia wykonali piękny żyrandol, który zawiesili w świątyni. Ponoć w późniejszym czasie, właśnie ze względu na swoją niezwykłość, żyrandol został wywieziony do innego kościoła, gdzieś koło Berlina. Można tutaj obejrzeć bardzo dokładny "Zegar Męki Pańskiej". Jest to duża rzadkość. Ze względu na pośpiech pewnie nie wszyscy poznali księdza opiekującego się tym kościołem, a szkoda, bo okazał on się być nad wyraz pomocny w rozwiązaniu pewnego problemu jaki powstał pomiędzy nami a dotyczącego nazewnictwa kościelnego.

W siedzibie Urzędu Miasta mieliśmy możliwość zobaczyć niewielkie zbiory jakie tu zgromadzono. Nie będę tutaj oczywiście ich przedstawiał. Chciałem tylko powiedzieć o jednej niebywałej sprawie. Dojrzelśmy tu w jednej z gablot pamiątki związane z mieszkańcem Sulęcína Leonem Stanisławem Pineckim. Co prawda idąc tutaj widzieliśmy na jednym z budynków pamiątkową tablicę właśnie jemu poświęconą. Wtedy jakoś nie zwróciliśmy na nią szczególnej uwagi. Jednak teraz gdy na spokojnie zaczęliśmy studiować zgromadzone tu papiery, zaczęło docierać do nas, że oto mamy do czynienia z człowiekiem wyjątkowym, człowiekiem godnym poświęcenia mu naszego czasu. Otóż Leon Pinecki to bardzo znany, dzisiaj powiedzielibyśmy sportowiec, dawniej określano go mianem siłacza. Wydaje się, że to drugie określenie jest tutaj bardziej na miejscu. Był to zapaśnik niezwykle siły i sprytu. Nazywano go mistrzem podwójnego nelsona. Był trzykrotnym mistrzem świata i pięciokrotnym mistrzem Europy w zapasach. Co ciekawe występował w latach trzydziestych XX wieku jako Polak, mimo iż był obywatelem hitlerowskich Niemiec. Nie mogło to oczywiście podobać się tamtejszym władzom, jednak ze względu na jego popularność, przez długi okres czasu ograniczano się tylko do utrudniania mu życia. W końcu jednak aresztowano go i wywieziono do obozu karnego. Człowiek ten szczęśliwie przeżył wojnę i zamieszkał w domu, na którym znajduje się tablica pamiątkowa. Niestety w 1949 roku zmarł w wieku 57 lat i został pochowany w pobliskim łagowie.

Ośno Lubuskie to miejscowość, którą praktycznie można poznać w ciągu kilku godzin. Co prawda są tu pięknie zachowane mury obronne z kilkoma wieżami ale to tylko nieco ponad tysiąc metrów długości. Najciekawszym jednak zabytkiem jest kościół św. Jakuba z końca XIII wieku. Jeśli będzie on akurat zamknięty należy koniecznie poszukać kogoś z kluczami. Jest tu bowiem niezwykle piękny ołtarz dla którego warto poświęcić nieco czasu. Zresztą w ogóle kościół ten jest wyjątkowy. Podziwiając jego konstrukcję wysłuchaliśmy kilku wystąpień naszych kolegów, którzy poczuli się na siłach przekazać nam swoją wiedzę w tym zakresie.

W ratuszu otwarto w 2002 roku Muzeum Ziemi Torzyskiej. Możemy tutaj dowiedzieć się iż Ośno było dawniej stolicą Ziemi Torzyskiej. Mnie jednak zaciekało coś zupełnie innego. Usłyszałem od przechodniów coś o konwaliach. Po intensywnych poszukiwaniach dotarłem do wiadomości, iż Ośno na przełomie XIX\XX wieku posiadało wiele olbrzymich gospodarstw specjalizujących się w produkcji bulw konwalii. Była to tak wielka produkcja, że miasto znane było w całej Europie i w Ameryce. Właśnie wtedy do Ośna przylgnęła nazwa "konwaliowe miasto" a do ich producentów "konwaliowi króle". Inną odnaniezoną przeze mnie informacją była ta mówiąca o tym, że w 1542 roku piwowarzy ośniańscy otrzymali monopol na zaopatrywanie karczem w całej Ziemi Torzyskiej. Doprowadziło to do tego iż dwadzieścia lat później działało w Ośnie aż 857 warzelní. Nie do uwierzenia!

W Słońsku znowu trafiliśmy na budowle związane z zakonem Joannitów. Pierwszą były ruiny pałacu, kiedyś niewątpliwie reprezentacyjnego, posiadającego tzw. salę odświętną wysoką na trzy kondygnacje. W 1810 roku, po likwidacji zakonu obiekt przejęła organizacja o nazwie Zakon Joannitów Królestwa Pruskiego i utworzyło tutaj muzeum. Po II wojnie światowej zgromadzone eksponaty powoli znikwały a w 1975 roku w wyniku pożaru, z tego wspaniałego obiektu pozostała tylko zwyczajna, o przepraszam, olbrzymia ruina. Drugi obiekt to kościół. Jego budowa trwała prawie pół wieku bo od roku 1474 do 1522. Warto tutaj zajrzeć choćby po to by obejrzeć przewspaniałe zdobione gwiazdźiste sklepienie, w którego siatce wmontowano ponad 200 zworników z przedstawieniami świętych, scen biblijnych, znaków zodiaków, zwierząt itp. W zasadzie będąc w tym obiekcie należy przyjrzeć się wszystkiemu co tu się znajduje. Muszę jednak powiedzieć o trzech obiektach. Pierwszy to ołtarz, w którym przedstawiono protestancki wykład prawdy wiary o Zbawieniu dzięki łasce Chrystusa. Drugi to ambona wykonana z ciemnego kamienia wydobytego w Sudetach. A trzeci to odnowiona w 1995 roku belka tęczowa z figurą Chrystusa ukrzyżowanego. By dalej nie rozpisywać się powiem tylko, że kościół w Słońsku to prawdziwe cacko. Przebija on wszystko co widzieliśmy do tej pory.



Ostatnim obiektem jaki mieliśmy zobaczyć w dniu dzisiejszym była XIII-wieczna kaplica templariuszy w Chwarszczanach. Wyobrażaliśmy już sobie te podziemne korytarze i różne pułapki oraz zagadkowe znaki wyrzeźbione na kamieniach. Niestety gdy dotarliśmy do celu nic z tych rzeczy nie było. Kaplica okazała się budowlą jak wiele podobnych. Tyle tylko, że z bardzo ciekawą i bogatą historią. Również w naszych czasach dzieje się tu wiele. Od lat organizowane są tutaj ciekawe imprezy zarówno przez różne stowarzyszenia czy urzędy. Odbývają się pokazy walk rycerskich, przemarsze krzyżowców, inscenizacje historyczne czy festyny archeologiczne.

No i nadeszła sobota, w zasadzie ostatni dzień pełen niespodzianek i poznawania nowych obiektów. Tym razem mieliśmy obcować z przyrodą. Mamy zatem nadzieję, że będzie ciekawie i spokojnie. Najpierw docieramy do dyrekcji Parku Narodowego „Ujście Warty”, gdzie pani Dorota Wypychowska opowiada nam o historii tego najmłodszego, bo utworzonego w 2001 roku, parku w Polsce. Puszczą nam film o atrakcjach jakie możemy tutaj napotkać. Później możemy wdrapać się na specjalnie zbudowaną wieżę widokową, by rozejrzeć się po okolicy. Wkrótce docieramy do "betonki" po której prowadzi ścieżka przyrodnicza z umieszczonymi na niej tablicami informacyjnymi. Ponieważ sezonowo poziom wody może podnosić się tu nawet do czterech metrów nie zawsze ścieżka jest dostępna. My dotarliśmy tutaj w odpowiedniej porze więc nie było problemów by przejść te 2 kilometry do platformy widokowej, z której podziwialiśmy ptaki widoczne po drugiej stronie rzeczki. Zwłaszcza, że oprowadzający nas pan Piotr Chara zabrał z sobą ekstra lunetę. W zasadzie mimo iż nie orientujemy się w szczegółach ptasiego życia to po krótkiej chwili nie mieliśmy żadnych problemów z

rozpoznawaniem poszczególnych osobników. Jak już bowiem wspomniałem wcześniej pan Piotr jest tak wielkim fachowcem, że nauczył nas tego migiem. Nie wiem oczywiście na jak długo zachowamy w pamięci uzyskaną wiedzę nie używając jej przecież na co dzień. Może jednak coś nam utrwali się na dłużej.

Po dotarciu do Witnicy trafiliśmy na pana Władysława Wróblewskiego, bibliotekarza, który okazał się być dla nas bezcennym źródłem wiedzy o zwiedzanym Parku Drogowskazów i Słupów Miłowych Cywilizacji. Miejsce to oficjalnie jest zbiorem obiektów i urządzeń opisujących rozwój ludzkiej cywilizacji. Jednak gdy znajdujemy się tutaj osobiście to czujemy i zadumę, i zaskoczenie, i zdziwienie, i często konsternację. Takich bowiem dziwologów jak tu dawno już nie widziałem. Ale są to rzeczy ciekawe, dające do myślenia. Nawet pośmiać się można. Niektóre są tak oczywiste, że aż trudno w nie uwierzyć. Ten kto wpadł na ten szatański (Zbigniew Czarnuch) pomysł naprawdę ma wyobraźnię.

Zdradzę tu pewną tajemnicę. Gdy stanęliśmy na kopcu Koziołka Matołka, kolega Mieciu Wojecki szepnął mi do ucha, że ma dla mnie coś bardzo ciekawego. Urwaliśmy się zatem po cichu i dotarliśmy do domu przy ul. Sikorskiego 35, w którym mieści się prywatne Muzeum Chwały Oręża Polskiego. Zarówno w budynku jak i na podwórku zgromadzono niezły arsenał. Jednak nie to jest tutaj najważniejsze. Ciekawostką dla której przyszliśmy tutaj jest życiorys naszego gospodarza, pułkownika Czesława Chmielewskiego. Otóż podczas wojny był on oficerem II Armii Wojska Polskiego i w trakcie bitwy został ranny 28 odłamkami. Oddział zbierający rannych uznał go za nieżywego i pozostawił, jednak po jakimś czasie kolejni żołnierze zauważyli u niego oznaki życia i zabrali go ze sobą. Rekonwalescencja trwała bardzo długo i po jej zakończeniu nasz bohater powrócił do życia cywilnego. Wojna się skończyła i pan Czesław żyłby sobie spokojnie gdyby nie fakt, że po jakimś czasie dowiedział się, iż według źródeł historycznych nie żyje. Kto nie byłby zaskoczony faktem, że nie żyje, prawda? Pan Czesław rozpoczął małe dochodzenie. I cóż się okazało. Ano okazało się, iż pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Okazało się także, że na cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu, gdzie pochowano tysiące żołnierzy II Armii, znajduje się mogiła z jego nazwiskiem. Sytuacja ta nie była wesoła. Przecież każdy, kogo dotknęłaby taka wiadomość mógł dostać zawału. Na szczęście pan Czesław wszystko wyjaśnił i pod wpływem doznanych przeżyć rozpoczął zbieranie eksponatów do planowanego muzeum.

My przejechaliśmy do miejscowości Bogdaniec, w której odwiedziliśmy Muzeum "Zagroda Młyńska". I jak zwykle w tego typu obiektach co chwilę na naszych twarzach gościł wyraz zdziwienia lub zaskoczenia. Zgromadzone dawne sprzęty gospodarstwa domowego zawsze nas zaskakują. Swoją prostotą jak i pomysłowością ich twórców. Przecież wszystko co dzisiaj używamy w naszych domach wymyślono wiele lat temu. I co ciekawe sprzęty wykonane wtedy są sprawne do dnia dzisiejszego, i co nie jest bez znaczenia, nie potrzebują do ich napędzania energii elektrycznej.

Przygotowano tutaj dla nas pokaz ręcznej produkcji chleba. Prezentujący nam swoje umiejętności piekarz wprawiał nas w zachwyt, radość, zdziwienie, ale i zaniepokojenie. Zobaczyliśmy jak sprawnie i szybko można przygotować wyroby do wypieku. Na koniec poczęstowano nas właśnie wyjętymi z pieca chlebami. Każdy ze smakiem zjadał się mimo iż chleb był jeszcze ciepły.

Dzień dzisiejszy był wyjątkowy, powracaliśmy do Gorzowa najedzeni. Najedzeni w dwojaki sposób. Otrzymaliśmy bowiem strawę zarówno tą dla brzucha jak i tą dla ducha. Patrząc na to wszystko co tutaj zobaczyliśmy wiemy już, że ziemia lubuska jest bardzo zasobna w zabytki. Związana z nimi historia jest niezwykle ciekawa, a walorów krajoznawczych jest tutaj tyle, że za jakiś czas można by zorganizować tu kolejny CZAK. I te słowa niech będą moja odpowiedzią zadaną na początku tekstu.

- Krzysztof Tęcza